

„To, co ja przeszedłem, to absolutny cud, że żyję! Dziękuję Bogu, że mi dał tyle i aż dotąd mnie zachował.” – Bolesław Mol

Pan Bolesław Mol - urodzony w 1923 roku na Górnym Śląsku. Podczas II wojny światowej kilka razy znalazł się w niebezpieczeństwie śmierci. Należał do AK, był więziony, przesłuchiwany i torturowany przez gestapo, a następnie przez Czechosłowację i Austrię wywieziony do Niemiec. Po zakończeniu wojny dotarł do Włoch, a stamtąd w sierpniu 1945 roku wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszka do dziś.

Urodziłem się 3 sierpnia 1923 roku na Górnym Śląsku w Brzezince koło Mysłowic. Brzezinka była duża, miała trzy szkoły, szpital, fabryki, w sumie 6 tysięcy mieszkańców. Gdyby nie wojna, nasza wioska byłaby miasteczkiem.... Uczęszczałem do szkoły powszechnej „Na Morgach” – to jedna z dzielnic Brzezinki. W przedszkolu uczyły nas siostry zakonne. W szkole klasy były liczne, do każdej należało blisko 50 osób. Nie mieliśmy stolików i krzesełek jak dziś, tylko duże ławki na kałamarze. Byłem dobry z historii i z geografii, ale miałem problemy w rachunkach. Bez problemu przechodziłem z klasy do klasy, tylko ten jeden przedmiot, rachunki, był moim utrapieniem. Do szkoły chodziłem boso.

Jak wspomina Pan rodziców?

Mój ojciec był urzędnikiem. Pracował w Zakładach Ubezpieczeń Społecznych w Królewskiej Hucie, później Królewska Huta przyłączyła się do Chorzowa. Tato był bardzo zdolny, znał 4 języki: polski, niemiecki, francuski oraz rosyjski. Miał również talent muzyczny i prowadził chór „Wanda” w kościele. Należał też do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Mama zajmowała się domem, nie potrafiła pisać ani czytać po polsku, ale dobrze posługiwała się tym językiem w rozmowie. Kiedy przychodziły do domu listy w języku polskim to my czytaliśmy je mamie. Ona znała bardzo dobrze język niemiecki, gdyż urodziła się z zaborze pruskim. Nazwisko panieńskie matki to Kubica. Dziadkowie Kubicowie nie byli takimi patriotami jak rodzice ojca, a zwłaszcza jak babka Molka, która w stodołach potajemnie uczyła po polsku dzieci z okolicznych miejscowości, należących wcześniej do terytorium zaboru pruskiego. „To była prawdziwa Polka!!!”

Mieszkaliśmy w mieszkaniu gminnym, tato jako urzędnik miał je przydzielone.

Kiedy Pana tato został urzędnikiem?

Kiedy tylko Śląsk wrócił do Polski. On zdawał egzaminy, znał bardzo dobrze język polski. Był Ślązakiem i u niego w domu wszyscy mówili po polsku. Wtedy w Polsce, niestety, było bardzo niesprawiedliwie, urzędnik zarabiał ogromne pieniądze, a inni różnie... Tato bez problemu mógł utrzymać naszą rodzinę i opłacić służącą. Była nią Polka, dochodząca do domu, w którym mieszkaliśmy, pomagała mamie w wychowaniu dzieci.

Proszę przybliżyć sytuację Śląska, jaką Pan pamięta sprzed II wojny światowej.

Mój ojciec urodził się na Górnym Śląsku, a pamiętajmy, że Górny Śląsk był pod zaborami długi czas, i wielu Ślązaków zrobiło się Niemcami. Do czasów Hitlera żyliśmy z Niemcami na Górnym Śląsku w zgodzie, oni mieli tam szkoły, rozmawiali po niemiecku, mieli swoich posłów w Warszawie. W 1933 roku, kiedy Hitler doszedł do władzy, wiele się zmieniło. Hitlerowcy robili bojówki, my musieliśmy uważać. Nie wiadomo było z kim się rozmawia, czy to Polak, czy Ślązak czy Niemiec? W Polsce zaraz po I wojnie nie można było wysiedlić wszystkich Niemców. Działyły huty, kopalnie, trzeba było

zostawić inżynierów, by zakłady nadal mogły prosperować. Było też wiele kościołów poniemieckich, ewangelickich.

Co chciałby Pan powiedzieć o dzieciństwie?

Dzieciństwo to najlepszy czas, kojarzy się przede wszystkim z mamą i tatą. Byłem najstarszy z rodzeństwa, miałem cztery siostry i brata, nasze imiona to: Bolesław, Kazimierz, Stanisława, Lidia, Genowefa, Ewa. Ojciec dawał wszystkie imiona polskie... Obecnie tylko ja żyję, pozostali umarli. Kiedy przyjechałem do Anglii napisałem do urzędu w Londynie, by zbadano skąd pochodzi moje nazwisko: Holandia, Anglia i Francja w tych krajach jest najwięcej Molów, ale ja czuję się Polakiem.

Czy jako najstarsze dziecko zajmował się Pan młodszym rodzeństwem?

Nie. W domu mieliśmy służącą i ona pomagała w opiece nad rodzeństwem.

Jak Pan wspomina czas szkoły?

Nasz nauczyciel pochodził z krakowskiego i był legionistą Piłsudskiego. Skończyłem tylko szkołę powszechną gdy miałem 14 lat. Nauka w niej trwała siedem lat. Ojciec zapłacił wstępną opłatę do gimnazjum ale ja „przepadłem”.

Co to znaczy?

„Wysypałem się” na rachunkach i nie dostałem się do gimnazjum. Szkołę Powszechną skończyłem dwa lata przed wybuchem II wojny światowej. Zacząłem się uczyć zawodu auto ślusarza w Brzezince, trwało to rok.

Co było dalej?

Wybuchła II wojna światowa, która szykowała się już od kiedy Hitler doszedł do władzy. Miałem wtedy 16 lat. Wojna wybuchła w piątek, a my już w niedzielę z całą rodziną uciekaliśmy. Zamknęliśmy dom, zostały dywany, meble i inne rzeczy... Uciekaliśmy przed Niemcami, piechotą w kierunku Warszawy. Ojciec bardzo się bał, bo wcześniej brał udział w III Powstaniu Śląskim. W I oraz II Powstaniu nie brał udziału, gdyż wtedy jako żołnierz niemiecki był w niewoli francuskiej. Dobrze, że zdążyliśmy dotrzeć w okolice Warszawy. Ojciec miał pieniądze, był przecież urzędnikiem, zapłacił i zatrzymaliśmy się w jednym z gospodarstw... Pamiętam, że kiedy byliśmy w tym domu i jedliśmy, nagle zauważyliśmy w oddali strzelaninę i uciekających ludzi. Ojciec powiedział: „To Niemcy!” Pożegnał się z mamą i rodzeństwem, zabrał mnie, najstarszego syna. W pośpiechu pomyliliśmy buty. Ja wziąłem jeden siostry i jeden taty, a on jeden mój i jeden siostry. Biegliśmy w kierunku Wisły, zdążyliśmy obaj wsiąść na prom, ale już boso, śpiesząc się, zgubiliśmy buty. Kiedy przeprawiliśmy się na drugą stronę rzeki, ojciec kupił chleb i rozpoczęliśmy wędrówkę w kierunku Mielca. W drodze po drugiej stronie Wisły zauważyliśmy w jednej miejscowości domek na górze, zapukaliśmy i weszliśmy do niego prosząc o nocleg, choćby w stodole. Gospodarz powiedział nam, gdzie jest szopa i zgodził się, że na nasz nocleg. Weszliśmy, położyliśmy się w słomie i zasnęliśmy. Następnego dnia poprzez las dotarliśmy do stacji kolejowej, nie pamiętam nazwy tej miejscowości. Pytaliśmy o pociąg do Lwowa. Przyjechał pociąg, ale było tak dużo ludzi, że nie mieliśmy żadnych szans, żeby wejść do środka. Chcieliśmy znaleźć się jak najdalej od Niemców, na wschód. Czekając na kolejny pociąg ojciec zauważył mnóstwo ludzi będących w oddali poniżej oraz konie, taczki i wozy. Domyśliliśmy się, że to koszary. Ojciec mówi: „Chodź idziemy zobaczyć!” Poszedł zameldował się do pułkownika, poprosił o buty, dostaliśmy je oraz chleb i suchary. Wróciliśmy, żeby czekać na pociąg. Naraz pojawiła się na niebie eskadra niemieckich samolotów, rozpoczął się atak pierwszych bomb. Razem z tatą padliśmy na ziemię pomiędzy koła pociągu, z boku stała maszyna - lokomotywa, kiedy bomba spadła,

widziałem tylko połowę maszynisty... Ojciec powiedział: „Nie będziemy czekać, teraz już na pewno pociągi nie pojadą do Lwowa!” I zaczęliśmy biec. Zatrzymał nas żołnierz, poinformował, że minują mosty. Tato miał dokumenty „w drugim powołaniu do wojska”, został wylegitymowany i pozwolono nam pójść dalej. Dotarliśmy do Jarosławia, a następnie poszliśmy pieszo w kierunku Zamojszczyzny. Kiedy szliśmy, w pobliżu taborów wojskowych ktoś zawołał mojego ojca: „Stanik”(tato miał na imię Stanisław). Był to Żyd z naszej wioski, który znał ojca. Powiedział: „Wsiadajcie na tabory”. Razem z nim dojechaliśmy w okolice Żółkwi. On stamtąd pojechał w kierunku Lwowa, a my poszliśmy dalej na wschód. Tato zdecydował, że pójdziemy w stronę Węgier i Rumunii. Doszliśmy aż do Brzeżan. Ojciec widząc, że jest tam wojsko, poszedł do kwatery, zameldował się i przedstawił swoje dokumenty odnośnie mobilizacji wojskowej. Zapytał, czy ja też mógłbym z nim zostać, ale otrzymał negatywną odpowiedź, gdyż nie miałem 18 lat, byłem za młody by wstąpić do armii. Zgłosiłem się jako ochotnik w przedziale od 16 do 18 lat, młodych ochotników było około 30. W Brzeżanach rozstaliśmy się z ojcem. Nie widziałem go przez kilka następnych lat.

Jakie były Pana losy po rozstaniu się z tatą?

Wojsko, do którego dołączyłem, wyruszyło by dostać się do Rumunii lub do Węgier. Niektórzy oficerowie wywozili z Polski cenne rzeczy, obrazy i inne wartościowe przedmioty. Woźnica taboru, wyrzucił część tych rzeczy, które nie były koniecznie potrzebne, jak zastawy stołowe oraz inne przedmioty kuchenne i zabrał nas na wóz. Rosjanie wkroczyli do Polski. Spotkaliśmy ich. Mówili, że przychodzą do nas z pomocą. Nie wpuszczono naszego oddziału ani do Węgier, ani w stronę Rumunii z powrotem poszliśmy w kierunku Lwowa, miasto się broniło, by odeprzeć atak Niemców. Rosjanie rozbroili nas we Lwowie, przyszedł do mnie jeden z ich dowódców, powiedział mi, że jestem młody i chciał mnie odesłać do hufca pracy. Miałem szczęście. Uciekłem...

Gdzie Pan uciekł?

Dotarłem do Rawy Ruskiej, tam zostałem zatrzymany przez Niemców, zabrali mnie do niewoli. Po drodze zatrzymywali coraz więcej Polaków i dołączali do niewoli. Kiedy dochodziliśmy do Lubaczowa było nas już około 1000. Niemcy kierowali się w stronę Sanu, a my dotarliśmy do Jarosławia. Przechodziliśmy przez miasto koło szpitala. Pamiętam, w oknach stali ranni żołnierze w szpitalnych białych ubraniach i krzykali: „Niech żyje Polska! Niech żyje Polska!” Mój Boże to była radość!!!

Czy w Jarosławiu byliście długo?

Zostaliśmy zaprowadzeni na boisko sportowe, na którym stało nas, tysiące niewolników... Nagle ktoś położył rękę na moim ramieniu i powiedział do mnie po śląsku: „Co ty tu robisz smarkoczu?” Był to kuzyn mojego ojca, Wiktor Mol. Zapytałem: „A wy co tu robicie wujku?” Wujek powiedział, że jest żołnierzem... Dał mi złotówkę, kupiłem sobie dwie bułki, poza płotem boiska noszono kosze z piekarni i można było kupić pieczywo. Czekaliśmy co będzie dalej. Przyniesiono jedzenie z kuchni wojskowej, nie miałem żadnego naczynia, by nabrać pożywienia. Wyczyściłem zwykłą puszkę tak, jak potrafiłem i poszedłem. Pan Bóg nade mną czuwał, to czułem cały czas. W Jarosławiu byliśmy tylko 20 godzin.

Dokąd udaliście się?

Zaprowadzono nas na stację. Pamiętam, że zaczął padać deszcz. Żołnierze austriaccy, którzy nas pilnowali powiedzieli, że możemy pójść bez płaszczy na perony. Idąc, zauważyłem drzwi, popchnąłem je i się otworzyły... Pan Bóg dał mi szansę: „Uciekaj!” Przeskoczyłem na trzeci peron, patrzę, a w pociągu pełno twarzy cywilnych, dorosłych, dzieci, a najwięcej starszych osób. Wszedłem do tego pociągu. Znow miałem szczęście! Usiadłem, patrzę, a obok mnie jest ksiądz, ubrany na czarno, na głowie miał kapelusz. Zapytał mnie: „Co tu robisz?” Odpowiedziałem: „Uciekłem

z niewoli!” Ksiądz widząc, że mam wojskowe buty i spodnie, poszedł gdzieś na chwilę i przyniósł koc. Przykryłem nim nogi. Miałem wielkie szczęście, gdyż za jakieś 10 -15 minut pojawiła się żandarmeria niemiecka. Stanęli w drzwiach, ja udawałem, że śpię. Porozmawiali i poszli dalej. Później ksiądz zapytał mnie jak mam na imię i powiedział, że jedzie do Tarnowa, gdzie będzie wysiadał. Jechał w odwiedziny do swojej matki. Zaproponował mi pomoc. Umówił się ze mną: „Kiedy ja wysiądę na stacji, ty za niedługo wyskocz z pociągu, będę na ciebie czekał pod mostem. Nie jedź do Krakowa, bo będą kontrole!” Tak zrobiłem. Wyskoczyłem z pociągu, a ksiądz czekał na mnie pod umówionym mostem. Zabrał mnie do swojej mamy, mieszkającej na wiosce w okolicach Tarnowa. Mogłem się wykapać, zjeść i odpocząć. Następnego dnia, ksiądz pokazał mi drogę gdzie pójść dalej. Poszedłem w kierunku Wisły, doradził mi, by kierować się do Puszczy Niepołomickiej i tak postąpiłem. Kiedy wyszedłem z Puszczy, zauważyłem dom, dotarłem do gospodarza i powiedziałem, że jestem uciekinierem, że idę do domu na Śląsk, jestem głodny, zapytałem czy mogę dostać coś do zjedzenia. Napotkany gospodarz poinformował mnie, że ma dwóch synów na wojnie, 19 letnią córkę w domu, a w polu ziemniaki do wykopania. Spytał: „Czy mógłbyś zostać i mi pomóc?” Zostałem na cały miesiąc, pomogłem, on kupił mi ubranie. Po wykopkach ziemniaki woziliśmy koniem do Krakowa oraz do Wieliczki na sprzedaż na tzw. „czarnym rynku”. Polacy są życzliwi, potrafią pomagać! Kiedy zbliżała się uroczystość Wszystkich Świętych zaplanowałem, że pójdę do domu. Szedłem od strony Krakowa, w jednym dniu przeszedłem około 50 kilometrów. Wyruszyłem bardzo wcześnie rano w kierunku Jaworzna, a stamtąd już było widać Brzezinkę, która leżała na pograniczu województwa krakowskiego i śląskiego. Zostałem zatrzymany przez niemieckiego żołnierza, wytłumaczyłem się, że idę do domu i zostałem puszczony. Najpierw dotarłem do domu dziadka Kubicy, zapukałem i dziadek otworzył mi. Zdziwił się, że jestem. Zapytałem, co słychać u mamy. Poinformował mnie, że matka nadal przebywa tam, gdzie mieszkaliśmy do czasów wojny czyli w „starej szkole” i że wszystko u niej jest w porządku. Następnego dnia poszliśmy do niej razem, ucieszyła się. Następnie musiałem zameldować się do gminy, do Niemców. Pytali mnie o ojca, powiedziałem, że nie wiem gdzie jest. Kłamałem, nie mogłem powiedzieć im, że ojciec poszedł do wojska. Gdybym się nie zameldował, nie dostałbym kartki na jedzenie, tam już rządzą Niemcy. Mieszkałem z mamą, wspierałem ją. Przed Bożym Narodzeniem zostaliśmy wysiedleni z budynku szkolnego. Przeprowadziliśmy się do gospodarza. Pewnego dnia zapukał mężczyzna i szukał mamy. Przyniósł list od ojca ze Lwowa. Była to piękna chwila, bo dowiedzieliśmy się, że żyje. Ja w późniejszym czasie pisałem z Niemiec do Lwowa na podany adres, a konkretnie do Kościoła Karmelitów we Lwowie, bo tam ukrywano tatę. Dostałem odpowiedź: „Ojciec pana wyjechał na wakacje do Sowietów do Fińskiej Karelii.” Dowiedziałem się później, że dopiero stamtąd dostał się do wojska polskiego. Ja cały czas pracowałem u Słabego w Mysłowicach, w betoniarni. Praca ciężka, ale pieniądze były dobre. Pracowałem aż do 1943 roku.

Co się wydarzyło, że przestał Pan pracować?

Spotkałem kolegę, który opowiedział mi o działającej organizacji podziemnej AK. Wiedziałem, że jest organizacja AK, ale nie miałem szerszych informacji na ten temat. Razem z kolegą Tadkiem w Sosnowcu na „Pogoni” złożyłem przysięgę do służby w Armii Krajowej na ryngraf Matki Bożej i wtedy zacząłem się ukrywać. Wiedzieliśmy, że będzie powstanie...



Bolesław Mol, pierwszy z lewej w drugim rzędzie od dołu.

Gdzie Pan się ukrywał?

W Sosnowcu, w Trzebini... potem w Wadowicach i okolicznych wioskach. Działaliśmy w AK, robiliśmy ulotki, potajemnie je rozprawdzaliśmy. Mieliśmy być „przerzuceni” na Mokotów, ale w tym czasie przed Wielkanocą w 1944 roku zostaliśmy zaarrestowani. Prawdopodobnie ktoś nas wydał. Miałem pseudonim: „Jan Gołąb”. Gdyby nie pseudonim, Niemcy by mnie rozstrzelali. Moja siostra Gienia powiedziała: „Ciebie szukają.” Legitymację schowałem pod stół w kuchni, pod blat, gdyby ją znaleźli zabiliby mnie natychmiast, to był dowód przynależności do tajnej organizacji! Kiedy przyszli Niemcy, cały pokój „przewrócili”. Zaarrestowali mnie po mimo, że nie znaleźli legitymacji.

Dokąd został Pan zabrany?

Najpierw zabrali mnie do Brzezinki i stamtąd do Katowic na gestapo, gdzie byłem zamknięty przez trzy noce w ciemnej celi i nie widziałem światła. Jedzenie zostawiali pod drzwiami. Po trzech dniach otworzyli drzwi, zabrano mnie na przesłuchanie. Pomyślałem: „Jak wam powiem to co chcecie wiedzieć, to moi mnie zastrzelą, a jak nie powiem to wy mnie zastrzelicie.” Postanowiłem, że nic nie powiem, będę udawał, że nic nie wiem. Na przesłuchanie zabrano mnie do Mysłowic do głównego więzienia. Były tam dwa baraki z robotnikami, których zaraz po wojnie wywożono na roboty do Francji. Byłem głodny... Przesłuchiwało mnie dwóch Niemców, którzy mieszkali na Śląsku i dobrze znali język polski. Zostałem pobity pałami, a najpierw ręką w tył głowy, związano mi ręce, rozciągnięto na stole i byłem torturowany. Kiedy mnie wypuszczono, pamiętam, że byłem w kałuży krwi, polano mnie wodą. Następnie wzięto mnie pod ramię do celi. W celi był mężczyzna, który pochodził z Opola, miał dwóch synów w wojsku niemieckim, uwięziono go za działalność na rzecz Polski. On i jego kolega pomogli mi. Ściągnęli spodnie, nasmarowali całe ciało oliwą, żeby „nie gnęło od kości” i dali mi coś do zjedzenia. Do dziś dnia nie wiem kto, ale ktoś przysłał mi do Mysłowic duże pajdy chleba z okrągłego bochenka z kiełbasą pomiędzy nimi. Chciałbym wiedzieć kto to przysłał, ale do dziś nie wiem. Nie można było pisać listów do nikogo. Po jakimś czasie zawołali moje nazwisko: „Bolesław Mol!” Wsadzono mnie do ciężarówki i jechaliśmy do Katowic na stację kolejową. Przyjechał pociąg, w którym przygotowany był specjalny wagon dla więźniów. Jechaliśmy i dojechaliśmy do stacji Rogoźnica (obecnie), wtedy miała nazwę niemiecką. Wysiadłem wraz innymi więźniami. Czekają na nas SS, piechotą szliśmy 3 kilometry i uświadomiłem sobie, że jestem na Opolszczyźnie. Zabrali nas Niemcy, potem dali numer i zostaliśmy posłani do kąpieli. Na szyi miałem srebrny łańcuszek, który dostałem od mojej matki. Niemiec zerwał go i zdeptał butami. Więzienne ciuchy były gotowe do ubrania, zabrałem je i zauważyłem, że w kieszeni jest medalik, ale Matka Boża zrobiona

była z aluminium, z materiału gorszego niż ten, który otrzymałem od mamy, schowałem go. Dla mnie był tak samo ważny. Matka Boża Niepokalanie Poczęta depcząca głowę węża...

Byłem znów pobity. Przed Bożym Narodzeniem 1944 roku wywieziono mnie do Katowic, a następnie do Gliwic. Tam wsadzono mnie do więzienia pojedynczo. Na noc zbierano ubranie i buty. Trzeba było zostawiać je przed drzwiami, a rano otrzymywaliśmy z powrotem. Niemcy bali się, że uciekniemy. W Gliwicach byłem w celi śmierci. Przeżyłem dzięki Sowietom. W styczniu 1945 roku położyłem się spać i słyszałem coś jakby świst. Niemcy zbudzili więźniów politycznych (było nas około 30) i kazali iść do Rybnika. Byłem głodny, skradłem bochenek chleba. Nie powinienem, ale Bóg wie co człowiek przeżywa, wybaczy mi... W Rybniku w celi nocowało nas sześciu. Każdy dostał po kawałku z tego chleba, pojedliśmy. Następnego dnia maszerowaliśmy w kierunku Niemiec. Tam załadowano nas na pociąg i przez Czechosłowację i Austrię wywieziono aż do granicy austro-jugosłowiańskiej. Nie wiedzieliśmy, co z nami będzie. Zabrano nas do więzienia. Następnego dnia rankiem przyszedł esesman i zapytał, kto chce pójść do pracy oraz zakomunikował, że ci, którzy się zgłoszą, dostaną podwójną porcję jedzenia. Nie powiedział, o jaką pracę chodzi. Ja się zgłosiłem i zgłosili się inni. Zabrano nas do samochodu, jechaliśmy i kiedy się zatrzymaliśmy zauważyłem, że jesteśmy przy żydowskim cmentarzu. Gwiazda Dawida widniała umieszczona na bramie. Prowadzono nas, przyszlismy pod dość duży budynek i zauważyliśmy pełno koców, kiedy je odkryliśmy zobaczyliśmy pod nimi Żydów rozstrzelanych w tył głowy. Musieliśmy pracować... Wykopaliśmy łopatami jeden wielki, głęboki dół i ciała Żydów nosiliśmy do mogiły, zasypywaliśmy je wapnem i na to nakładaliśmy następne ciała... Mogło być około 30 zabitych. Gdybym wiedział, nie poszedłbym do tej pracy... Moje jedzenie oddałem innemu więźniowi, nie mogłem jeść tej „podwójnej porcji”... Dla mnie Żyd, to kolega... Mój ojciec też miał Żydów kolegów. Nasza wiara pochodzi od Żydów... Żydzi walczyli z Polakami o Polskę, tak jak Polacy. Żydzi do naszego narodu wnieśli też dużą kulturę, wszystkie dawne, pobudowane nad Wisłą spichlerze, to żydowski pomysł. My w naszym narodzie mamy bandytów i Żydzi mają, jak każdy jeden kraj. Nie ma „świętego kraju”.

Co dalej?

Zabrano nas do pociągu i przejechaliśmy znów przez Austrię i Niemcy. Dojechaliśmy do Poczdamu gdzie byliśmy przez dwa dni więzieni, a następnie wywieźli nas do Halberstadt. W mieście tym przeżyliśmy nalot bombowców amerykańskich, całe wagony się trzęsły. Czy to nie cud, że ani jedna bomba nie uderzyła w nasz pociąg? Jak tu nie wierzyć w Pana Boga? Jakże ja miałem dowody! Po wojnie stałem się lepszym katolikiem. To, co ja przeszedłem, to absolutny cud, że żyję! To nie byłoby możliwe bez pomocy Boga... Mam już sporządzony „pakt z moim ojcem”, że kiedy umrę, chcę by mnie skremowano. Nie chcę, żeby mnie angielskie robaki jadły (śmiech...). Chcę zostać pochowanym w tej mogile, co ojciec. Dziękuję zawsze Bogu że żyję, tyle przeszedłem, mam 97 lat, Jezu Chryste Panie, czy ja nie mam dziękować?

A po nalocie..?

Niemcy zatrudnili nas do zbierania niewypałów. Zebraliśmy jakieś jedenaście, dwanaście niewypałów, pękniętych. Do dziś dnia nie mogę zapomnieć dwoje małych niemowląt, choć to Niemcy, ale dzieci, a dzieci nigdy nie są winne... Patrząc, bomba pomiędzy nimi, nie wybuchła, ale ich zabiła... Były w łóżeczku, ustawionym w piwnicy, blisko pieca. Ja ciągle to pamiętam... Ach, wojna... owszem, kiedy byłem młody... to mój kraj, to co innego... Poszedłem, ale kiedy człowiek żyje dłużej, to jego myśli się zmieniają... jego rozumowanie się zmienia...

Teraz po latach co Pan myśli o wojnie?

Nie chcę żadnej wojny. Nie, nie wojna... Są jednak dwie strony, dwa „punkty”. Ten, który atakuje i ten, który się broni... Jak ja nie mogę pójść w obronie Ojczyzny? Polska nie atakowała Niemców...

Wróćmy do Pana pobytu w Halberstadt...

Tam przyszli Amerykanie. Naraz patrzę przez okno z więzienia. Widzę trzy czołgi, ale z białymi gwiazdami. Mówię do kolegów, a było nas po sześciu w każdej celi: „To nie są Rosjanie, bo Rosjanie, mają czerwone gwiazdy. To musi być ktoś inny.” Wtedy nie wiedziałem, że Amerykanie mieli białe gwiazdy... Siedzieliśmy w celi cały tydzień i nic... Byliśmy więźniami politycznymi. „Przyszedł cel”, ja i mój kolega Krakowiak, student Uniwersytetu, który po angielsku rozmawiał, mówi do mnie: „Bolek, nasza kolej, żeby pójść po obiad.” Niemcy w większości wtedy już uciekli i w więzieniu zostali tylko strażnicy. Kiedy szliśmy na obiad kolega mówi: „Bolek, jak ja go rąbnę (strażnika), on wpadnie do pomieszczenia, ty zamknij to pomieszczenie, otworzymy bramę i idziemy do Amerykanów pokazać, że tu jesteśmy.” Oni o tym nie wiedzieli. Tak zrobiliśmy.

A ilu was było?

Więźniów politycznych całe drugie piętro. Otworzyliśmy bramę więzienia i otworzyliśmy cele więźniów politycznych, nie kryminalistów. Pomiędzy nimi byli Czesi (o, to zawzięty naród!), i Ukraińcy. Wyszliśmy, pamiętam trzech Amerykanów, jak trzymali karabiny i pamiętam, że ich dowódca miał dwie srebrne belki na ramieniu. Kolega posługujący się językiem angielskim przedstawił im sprawę. Nie wiedzieli o tym, że w więzieniu są polityczni więźniowie. Amerykanin poszedł z nami do więzienia i powiedział: „Idźcie z powrotem do celi, a Niemcom nie wolno zamykać waszych celi, możecie chodzić od celi do celi i rozmawiać.” Amerykanie powiedzieli o nas swoim wyższemu dowódcy. Po kilku dniach, pamiętam, że była to niedziela, przyjechała do więzienia grupa Amerykanów. Byłem zaskoczony, że wśród nich byli tacy, którzy potrafili rozmawiać w języku nas, więźniów. Był Amerykanin polskiego pochodzenia, rosyjskiego pochodzenia... Mnie i innych spotkało szczęście. Otrzymaliśmy od Amerykanów dokument zwalniający z więzienia, napisany w języku angielskim, był to maj 1945 rok. Amerykanin, to nie taki żołnierz jak Anglik. Anglikom trzeba salutować, a Amerykanin, kiedy idzie oficer, nie od razu wstaje, siedzi i mówi „Hi”. Anglicy są wymusztrowani, strict i tak samo Niemcy!

Gdzie Pan się udał?

Zostałem tam, aż do wyjazdu do końca wojny. W Niemczech się ożeniłem w 1945 roku. Miałem wtedy 21 lat, a żona 19. W Halberstadt poznałem żonę i jej matkę. Kiedy ją zobaczyłem, zakochałem się bardzo, powiedziałem: „Ona będzie moja!” Po dwóch tygodniach znajomości wzięliśmy ślub w rzymskokatolickim kościele niemieckim, przeżyliśmy razem w małżeństwie 74 lata... Pamiętam, poszedłem do niemieckiego księdza, nie rozmawiałem dobrze po niemiecku, ale rozumiałem ten język. Poprosiłem o ślub. Ksiądz czytał przysięgę w języku polskim. Moja żona pochodziła z zamojskiego, z Kolonii Dębowiec, stamtąd zostali wysiedleni przez Niemców. Była w Rzeszy razem z matką i rodzeństwem, jej dwie siostry oraz brat przebywali w Berlinie.

Jak wyglądał Wasz ślub i kto w nim uczestniczył?

Wszyscy, którzy tam byli uwolnieni z więzienia oraz matka żony. Amerykanie po uwolnieniu z więzienia umieścili nas w Seminarium Nauczycielskim. Przygotowali łóżka i przystosowali miejsce na nasz pobyt. Właśnie tam miała miejsce uroczystość weselna. Z mojej rodziny nie było nikogo. Amerykanie dali nam spirytusu, zaprosiłem chłopców na przyjęcie... Otrzymaliśmy też mąkę, Polki upiekły ciasta... Takiego wesela nie wyprawilibym w Polsce!

A w najbliższym czasie po zaślubinach, jakie były decyzje co do przyszłości?

Wiedząc, że do Wielkiej Brytanii dociera wojsko polskie, w 1945 roku skierowałem do Anglików pisemne zapytanie, czy może i mój ojciec znajduje się w wojsku Wielkiej Brytanii? Po około 10 dniach dostałem list od taty, bez dokładnego adresu zwrotnego. Napisał: „Poczekaj, sprowadzę Cię z Niemiec do Włoch.” Następnie przysłał mi swój dokładny adres. Tato był starszym sierżantem w Artylerii Pomiarowej 2 Korpusu we Włoszech, brał udział w bitwie pod Monte Cassino. W liście powiadomił mnie, że polskie ciężarówki przyjeżdżają z Włoch do Niemiec, z żywnością dla rodaków. Któregoś dnia 6 takich wojskowych ciężarówek przyjechało. Dostałem wiadomość od Anglików. Pociągami zabrano mnie z Braunschweig (Brunszwiku) aż na Północ, gdzie zorganizowano miasto Maczków, należące do Niemców, ale ich wyrzucono, a zakwaterowano Polaków. Spędziliśmy w Maczkowie około dwóch tygodni. Przyjechał transport z żywnością z Włoch. Nasi Polacy to handlarze, dużo handlarzy... W Niemczech nabrali opon. Widząc tę sytuację pomyślałem o każdym z nich: „Tyś walczył, ja wiem, ale nie ma się co robić takim bogaczem nagle.” Opony brali, przewieźli i sprzedawali na czarnym rynku we Włoszech. Kiedy przychodzili z powrotem, mieli pliki lirów w kieszeniach. Ja im życzę bogactwa, ale to nieładnie! Wraz z żoną pojechałem do Włoch. Jej mama chciała nas zabrać na Zamojszczyznę, miała dużo pola, gospodarkę, ale ja się nie zgodziłem... Byłem tak długo gnębiony przez Niemców... tyle się męczyłem, po co miałem teraz iść „pod czerwoną chorobę do Ruskiego...” Jeszcze tato ile mi opowiedział, co wyrabiali z nim, miał szczęście, że nie wywieźli go na Sybir...

Tato był koło Tragi we Włoszech. Po bitwie pod Monte Cassino poszedł wraz z oddziałami wojskowymi na wschód i tam walczyli z Niemcami. Prawda wychodzi na jaw, niestety wielu Polaków walczyło z Niemcami przeciwko nam... Zdradzili Polskę!

Jak Pan dotarł do Włoch?

Z Niemiec wracało 6 ciężarówek, które przywiozły jedzenie i zabraliśmy się z nimi bezpośrednio do Włoch, bez paszportu a wraz z nami wiele innych osób, będących w podobnej sytuacji. W czerwcu 1945 roku dotarliśmy do Italii.

Długo tam zostaliście?

Nie, niedługo. W sierpniu przedostaliśmy się z wojskiem polskim do Anglii. Jechaliśmy pociągiem przez Szwajcarię, Austrię i Francję, do Calais, stamtąd promem do Anglii aż do Anglesey.

Podróżował Pan wraz z żoną?

Nie, Kamila urodziła córkę, Stasię i nie mogła z nami jechać. Była wtedy w szpitalu w Trani na południu Włoch, tam gdzie urodziło się nasze pierwsze dziecko. W późniejszym okresie miałem trudności z faktem, że dziecko urodziło się w Italii. Angolicy nie uznawali najstarszej córki za Angielkę i długo nie chcieli jej przyznać obywatelstwa. Jako, że urodziła się we Włoszech, otrzymała włoskie obywatelstwo. I również tam odbył się chrzest, ojciec chrzestny był polskim żołnierzem i po wojnie wyjechał do Argentyny wraz z żoną. Na jesieni, w październiku czy listopadzie dotarła do mnie żona z córką. Sprawę przyjazdu organizowali Angolicy. Dostałem od Kamili wiadomość, że już przebywa w Wielkiej Brytanii, ale nie wiedziałem, w którym obozie się znajduje. Było jedynie napisane, że jest w domu matek. Mój ojciec też jej szukał. Okazało się, że zakwaterowano ją i dziecko w obozie koło Chester. Dostałem prawo przejazdu pociągami z Anglesy za darmo dla mnie i dla córki. Pojechałem do Crewe. Nie wiedziałem jak stamtąd przedostać się do Chester, zatrzymałem ciężarówkę, pokazałem bilet i kierowca zawiózł mnie do obozu, w którym czekała żona. Zabrałem ją wraz ze Stasią i przewiozłem do miejsca, gdzie stacjonowałem z wojskiem ojca „Pomiarówką!” Tam byliśmy dwa,

może trzy miesiące i Anglicy przewieźli nas do Shropshire, które graniczy z hrabstwem Cheshire i Worcestershire. Był to prawdziwy obóz, opróżniony z wojsk amerykańskich, osiedlono w nim wojska polskie. W Shropshire zostaliśmy aż do demobilizacji, a potem ojca wywieziono do Kidderminster, a ja i żona około czterech lat pracowaliśmy na farmie koło Market Drayton. Farmer był dla nas bardzo dobry. Kiedyś uratowałem mu farmę od ognia... Moja babka nauczyła mnie doić krowy, a dziadek kosić kosą. Wszystko to potrafiłem i to mi się przydało zarówno w Niemczech, jak i w Anglii. Żona zajmowała się domem i dziećmi. Pozostała szóstka moich dzieci urodziła się w Wielkiej Brytanii. Na farmie byłem do roku 1950 roku. W tym samym roku przyjechałem w ślady taty do Kidderminster, tu mieszkało więcej niż 600 Polaków. Nie mieliśmy kościoła. Najbliższy Kościół Polski był w obozie polskim w Burlish, gdzie duszpasterzem był ks. Rogiński – Wilnianin.



Bolesław Mol z żoną, dziećmi i ojcem.

Tato sprowadził mamę z Polski do Wielkiej Brytanii?

Mama była tu sześć miesięcy, zebraliśmy pieniądze i zaprosiliśmy ją. Przyjechała najpierw na 3 miesiące, ale później napisałem prośbę do „Home office” i przedłużono jej pobyt o kolejne 3 miesiące. Ojciec powiedział mamie: „Marysiu, ja się najadłem dosyć ruskiego chleba, a kołaczy ich nie chcę!” W ten sposób wyraził, że nie wróci do komunistycznej Polski. A mama powiedziała: „Jak ja mogę zostawić cztery córki i syna w Polsce..?” Nie było szans, by rodzzeństwo sprowadzić do Wielkiej Brytanii, komuniści nie pozwoliliby. Tato został tu, a mama w Polsce. Była kilka razy w Wielkiej Brytanii, spotykała się z tatą, ze mną i moimi dziećmi, ale nigdy nie przeprowadziła się na emigrację nas na stałe. Ojciec zmarł w Anglii w 1972 roku i tu został pochowany, a mama zmarła w Polsce w 1988 roku, pochowano ją na Śląsku w Wesołej. Rodzeństwo też mnie odwiedzało, ale jak już wspominałem nikt z nich tu nie zamieszkał. Fundowałem im podróże, wiedziałem, że w Polsce jest bieda... Ja również byłem w Polsce 5 razy w czasie komunizmu. Tato pracował w fabryce dywanów w Kidderminster i ja także. Mieliśmy z żoną siódmkę dzieci, 4 synów i 3 córki. Moja córka Marysia jest pielęgniarką i mieszka w USA. Mam 24 wnuków oraz 3 prawnuków. Dziękuję Bogu, że mi dał tyle i aż dotąd mnie zachował.



Z żoną i dziećmi

Nie żałuje Pan, że nie wrócił do Polski?

Ja żałuję, ale miłość do mojej rodziny, dzieci, wnuków i prawnuków, przerasta tę żalność. Pamiętam jak moja siostra Stanisława napisała mi: „Bolek, nie przyjeżdżaj, jeszcze żyje Stalin, jest twarda komuna, jak się zmieni dam Ci znać.” Czekałem, czekałem i doczekałem się listu, siostra napisała, żeby przyjechać. Pierwszy raz po latach pojechałem pociągiem do Londynu i stamtąd do Harwich, potem do Hook of Holland, a następnie do Poznania i na Śląsk. Odwiedziłem rodzeństwo i mamę. Polski naród robotny, a ZSSR go używał, kradł, wywozili węgiel do Rosji... My Polacy, zasłużyliśmy, żeby mieć wolną Polskę!



Bolesław Mol trzyma sztandar podczas uroczystości patriotycznej.

A wnuki odwiedzają Polskę?

Z moich wnuków do Polski najczęściej jeżdżą dzieci od najstarszej córki, najbardziej lubią Kraków, co roku tam są, niestety nie mówią po polsku. Ja pracowałem po 12 godzin dziennie i miałem mało czasu na rozmowy z moimi córkami i synami. Nie miałem też tyle szczęścia, żeby ze swoimi dziećmi jeździć do Polski, a mój najmłodszy wnuk Beniek był ze mną w Polsce 4 razy. Miał 6 lat, kiedy pojechał pierwszy raz. Jest już dorosły, ma troje dzieci.

Tęskni Pan za Polską?

Byłem żołnierzem AK, składałem przysięgę na wierność Państwu Polskiemu. Tęsknię! Pojechałbym do Polski na stałe, ale mi „nie wolno”, moja żona jest tu pochowana... Ostatnio kiedy byłem w Polsce, miałem ponad 80 lat, czekał na mnie w Krakowie mój kuzyn, Alojzy Mol, montażysta filmów animowanych, pracował między innymi przy produkcji bajki „Bolek i Lolek”, bardzo zdolny człowiek, mieszkał w Bielsku-Białej. Długo rozmawialiśmy i wspominaliśmy przedwojenne czasy z dzieciństwa spędzonego na Górnym Śląsku.



Bolesław Mol, 2020 rok.

Dziękuję za rozmowę

siostra Halina Pierożak
Misjonarka Chrystusa Króla
dla Polonii Zagranicznej
15.08.2020r.

Pan Bolesław Mol wyraził zgodę na opublikowanie ww. wywiadu.